Dwuadresowi



Katarzyna Bzowska *(Londyn)*

My dwuadresowi
jeździmy pomieszkać do siebie.
Odwiedzamy przeszłość
myśląc co będzie?

Na rozdrożu już jesteśmy
samowolnie wygnani z dzieciństwa.

Jeździmy po stabilizację
zostawiając serca w kilometrach autostrad.
Zmęczeni podróżą wciąż tęsknimy
wszędzie obcy.

My dwuadresowi

tam i z powrotem jeździmy pomieszkać do siebie.

Wiersz ten napisała mieszkająca od lat w Niemczech Joanna Duda-Murowski. Jakże dobrze oddaje on stan, w którym znajduje się obecnie wielu Polaków. Nigdy u siebie. Na obczyźnie zawsze trochę obcy, w Polsce – już obcy.

Ta dwuadresowość nie jest niczym nowym. Przez lata była raczej zjawiskiem marginesowym. Gdy ktoś decydował się na emigrację lub był do niej zmuszony, jak miliony ludzi wysiedlonych po wojnie z terenów Polsce zabranych, wiedział, że jest to droga w jedną stronę. A jednak były osoby, którym nawet wtedy udawało się mieszkać w Polsce i za granicą.

Takim dwu-, a nawet wieloadresowcem był Zbigniew Herbert. Ten emigrant z ziemi lwowskiej, który wyemigrował wewnętrznie w latach stalinowskich, żyjący na marginesie głównego nurtu życia literackiego, przez wiele lat tułał się po Europie. Mieszkał w Austrii, Niemczech, Francji i USA, gdzie przez krótki czas wykładał na jednym z uniwersytetów. Jednak nigdy do końca Polski nie opuścił. Wracał do niej, by znowu wyjeżdżać. A wyjeżdżał, bo ta Polska nie była „jego". Uciekał, aby nie być „u siebie", by tym samym móc być bardziej „u siebie". Jednak zawsze wracał. W końcu wrócił na stałe.

Podobnie było z Czesławem Miłoszem. Też imigrantem z ziem zabranych, który nie potrafił znaleźć miejsca w świecie. Wybrał z dala od Polski w sposób bardziej zdecydowany niż Herbert, choć z zasiedziała, zwłaszcza nad Tamizą, emigrację nie miał łatwych stosunków. Oni potępiali go za to, że – jak wielu zresztą innych ludzi pióra (na przykład Julia Hartwig, czy Jerzy Zagórski) – tuż po wojnie zdecydowali się na pracę w PRL-owskich konsulatach. Krótki epizod tej współpracy części twórców wybaczono. Miłoszowi, który rozstał się z tą służbą w sposób spektakularny, część emigrantów nie wybaczyła nigdy. Sam poeta do tych trudnych stosunków dołożył zresztą rękę, a raczej pióro. Pod koniec życia on także wrócił do swojej ojczyzny-obczyzny. Zamieszkał w Krakowie, mieście, które ma w atmosferze coś przedwojennego, nie jest nowoczesnym konglomeratem jak Warszawa, gdzie prawie nie ma starych warszawiaków. W Krakowie czuje się historię.

Takimi dwuadresowcami było także małżeństwo Julia Hartwig i Artur Międzyrzeccy. Przez wiele lat prowadzili wykłady na uczelniach amerykańskich, ale zawsze traktowali ten swój zagraniczny pobyt jako tymczasowy. Jakiś czas mieszkali w Paryżu. Nigdy nie zlikwidowali warszawskiego mieszkania. Przez krótki czas podnajmował je Zbigniew Herbert, gdy próbował znaleźć swoje miejsce.

Wszyscy wymienieni przeze mnie to poeci, widziani z różnych powodów, w różnych odsłonach polityczno-historycznych źle przez PRL-owskie władze. To ciekawe, że właśnie im wydawano paszporty, podczas gdy inni otrzymywali decyzje negatywne. Mam wrażenie, że władze chętnie się ich pozbywały, w nadziei, że ten „element niepewny", oddziałujący negatywnie przede wszystkim na młodzież, która przychodziła tłumnie na poetyckie spotkania, wybierze zagraniczny adres.

Emigranci, którzy woleli mówić o sobie, że są uchodźcami, gdyż oni nie wyjechali, a zostali wywiezieni – do obozów lub na roboty w Niemczech, łagrów i kołchozów w Związku Sowieckim – nigdy nie wyemigrowali, a po prostu nie mieli dokąd wracać, żyli na obczyźnie Polską. Choć nie mieli drugiego określonego adresu, to była nim cała ojczyzna. Tyle tylko, że nie był to kraj prawdziwy, ten w jaki Polska zmieniła się, a kraj wyidealizowany, z ich wyobraźni, niewiele też mający wspólnego z tym, który opuścili.

Zmiany w Polsce, a później rozszerzenie Unii Europejskiej, gdy kontynent stał się otwarty dla wszystkich i by wyjechać nie trzeba już było starać się o paszporty i wizy, sprawił, że dwuadresowość stała się zjawiskiem znacznie bardziej powszechnym. Decydowali o tym sami zainteresowani, bez uzależnienia swoich wyborów od takiego czy innego podejścia „panów z urzędu". Dostępność polskiej telewizji, internetu, a także taniość połączeń telefonicznych sprawiły, że wielu Polaków mieszka i pracuje w Niemczech czy Wielkiej Brytanii mentalnie nie wyjeżdżając. Zresztą to też nie jest zjawisko nowe. Zofia Kucówna w jednej ze swoich książek opisuje wizytę u przyjaciół mieszkających w Jerozolimie. Oni żyli tym, co działo się nad Wisłą, choć nie wyjechali dobrowolnie, zostali do wyjazdu zmuszeni i wyruszyli w podróż z biletem w jedną stronę, bez prawa powrotu, a nawet prawa odwiedzenia Polski.

Zastanawiam się co będzie działo się, gdy Wielka Brytania opuści na dobre Unię Europejską? Ilu Polaków podejmie ostateczne decyzje, stanie się jednoadresowcem,

zamieszka tu, albo tam? Ilu nadal utrzyma taki status, ale wybierze inny kraj europejski? A może wciąż uda się utrzymać obecną sytuację? Bo dwuadresowość to przede wszystkim stan ducha.

Napisałam ten tekst i włączyłam polską telewizję. Wiadomość, której obawiałam się od chwili, gdy nadeszła informacja o zamachu nożownika na Pawła Adamowicza, prezydenta Gdańska. Zmarł, nie przeżył zadanych mu ran. Uświadomiłam sobie, że dwuadresowość ma jeszcze jeden wymiar: jesteśmy narażeni na dwa razy więcej emocjonalnego przeżywania tragedii niż ci, którzy mieszkają w jednym kraju. Zabójstwo Jo Cox było dla mnie tak samo tragicznym wydarzeniem, jak Adamowicza. Tragedię smoleńską odczułam równie boleśnie, jak zamach terrorystyczny 7 lipca 2007 r. w Londynie. I to jest też cena, jaką się płacę za dwuadresowość.

„Tydzien Polski", Londyn